

Każdy bóg sprowadza na swych wyznawców własny rodzaj szaleństwa. Jeśli więc chcielibyśmy dobrze poznać jakiegoś boga i odkryć jego tajemnice, winniśmy dać się porwać temu szałowi, zanurzyć w jego istocie. W księgach magicznych nie znajdziemy nawet wzmianki na ten temat, z bardzo konkretnej przyczyny - otóż o podobnych przeżyciach chętnie się zapomina. Poza tym każdy musi doświadczyć ich na własnej skórze. Natomiast dla osób, które pragną obłaskawić magię, pozabawić ją wszelkiej dzikości, przy pomocy psychologii lub nauki, szaleństwo jest wielkim tabu, obiektem wszelkich lęków. Zapewne macie teraz nieodpartą ochotę zadać jedno konkretne pytanie: Czemu wybrałem akurat Cthulhu, Arcykapłana Wielkich Starożytnych, śniącego w zatopionym mieście, pod pokładami czasu i wody, jako obiekt swej magicznej praktyki? Odpowiedź zrazu wydaje się prosta: Wybrałem go, ponieważ usłyszałem jego „zew”. Bogowie zazwyczaj nie mówią zbyt wiele, lecz jeśli już otwierają swoje usta, warto ich posłuchać.

Pamiętam, jak dawnymi czasy przeprowadziłem w mieszkaniu mego przyjaciela operację magiczną związaną z boginią ziemi, Gają. I nie mam tu bynajmniej na myśli new age'owej mamuśki, niosącej przesłanie o ochronie wielorybów i segregacji śmieci, tylko boginię z krwi i kości. Poczułem wtedy w głowie narastające napięcie, jakby coś chciało wydostać się na powierzchnię. Odczuciom upływu geologicznego czasu towarzyszyło przesuwanie się warstw tektonicznych w przestrzeni mej świadomości. Żar magmy. Powolne nawarstwianie się przemieszczających się kontynentów. Brzęczenie tysięcy owadów. Nic, co w najmniejszym stopniu przypominałoby człowieka. Ówczesne przeżycia pomogły mi uporządkować moje wyobrażenia na temat Cthulhu, czegoś obcego, a zarazem w jakimś stopniu bliskiego. Rozległej masy poruszającej się gdzieś w moim brzuchu. Powolnego, nawet bardzo powolnego bicia serca, z trudem przebijającego się przez szum fal. Przymkniętych oczu przeszywających swym spojrzeniem niezmierzone ciemności, aż po widnokrąg naszego świata, widnokrąg miast i ludzi, przenikających na wskroś całe moje życie. Po przebudzeniu się z takiego snu trudno było otrząsnąć się z niepokoju. Nie mogłem pozbyć się wrażenia, że te ciche trzaski przebijające się przez wyjątkowo złowieszcą ciszę poważnie zagrażają memu kruchemu istnieniu.

Oto jak Cthulhu daje znać o swym szaleństwie.

Ponaglany chęcią wyjścia z domu, pobiegłem do lasu. Pamiętam, że padał wówczas rzęsyisty deszcz. Bezlistne drzewa zapadały się korzeniami w błoto, wyciągając do góry gałęzie, jakby chciały złapać niebo w swoje sidła, jakby były mackami Cthulhu. Sam Cthulhu to bóstwo przypominające ośmiornicę, obdarzone skrzydłami smoka. Jego teriomorficzne przedstawienie posiada wszak swe odpowiedniki w znanych nam fenomenach natury. I tak na przykład możemy ujrzeć go w drzewach, rojach owadów, życiu roślin, a także w bakteriach czy wirusach krążących w moim ciele, gdy piszę te słowa. Ukryte. Śpiące. Poruszające się bez naszej wiedzy. Praktycznie nic o nim nie wiemy. Nieznane są nam jego cele. Im dłużej o tym myślę, tym bardziej staje się dla mnie oczywiste, że natura jest dla nas czymś obcym. Nie potrzeba szukać ukrytych wymiarów, wyższych planów istnienia czy zagubionych światów mitu. Wystarczy rozejrzeć się wokół siebie, aby poczuć i zobaczyć Wielkie Stare Bóstwa.

Starożytni są wszędzie. Ich twarze odciskają się na skałach pod naszymi stopami. Linie brzegowe zdobią ich własnoręczne podpisy. Czas odbija echem ich myśli. Z każdym uderzeniem pioruna rozbłyskują ich neurony. W porównaniu z Cthulhu jestem ziarenkiem piasku. To niepojęte, że przyciągnąłem uwagę tej oślizgłej bestii. Już sama myśl o tym wprawia mnie w przerażenie, wobec którego pryska jak bańka mydła na cała moja długo pielęgnowana magiczna pycha. Nie pozostaje mi nic poza ucieczką i ukryciem.

Próbowałem zgrywać bohatera, wierząc, że mogę zawładnąć tymi istotami. W rezultacie skazałem się na żywot uciekiniera, stale oplakującego utratę swej niewinności. Świat w oka mgnieniu stał się dla mnie wiecznym zagrożeniem. Przerażały mnie nawet jego barwy, tak jaskrawe, aż bolały mnie oczy. Odczuwałem fascynację wobec okien, ale i one po dłuższym spojrzeniu wydawały mi się złowieszcze. W każdej chwili mogły przejrzeć się w nich czyjeś przymglone oczy. Dotknąłem ręką szklanki, rozmyślając nad tym, jakaż to tajemnica kryje się w tej odrobinie materii. Och, jakże bym chciał być tak, jak ona, przeźroczysty. Rzecz w tym, że się tego boję.

Nie czuję żadnego ukojenia nawet we śnie, mimo iż chyżo zamykają się mi oczy. Mam wrażenie zapadania się w czymś... czego sam nie

jestem w stanie uchwycić słowem. Na nic zdaje się cała moja wiedza magiczna. Nie potrafię już niczego odpędzić. A jeśli nawet, sam powstrzymuję się przed tym. Omyłkowo przekroczyłem nie ten próg, co trzeba i teraz czuję się jak ktoś, kto zabrnął w ruchome piaski. Wszędzie słyszę bicie serca Cthulhu. Teraz wiem już coś, czego wcześniej sobie nie uświadamiałem. Wiem, że Cthulhu śni o mnie. Tak bardzo chciałbym o tym zapomnieć, otulić się welonem błogiej niewiedzy, ale nie potrafię. Staję się bardzo podejrzliwy. Kiedy nad ranem zakładam skarpetki, uważnie sprawdzam, czy aby na pewno nie są pod napięciem. Drzewa wydają mi się szczególnie niebezpieczne. Trzymam się od nich z daleka. Pozwalam sobie na równie paranoiczne zachowania w odniesieniu do kwestii z pozoru błahych i nieistotnych.

Kiedyś wydawało mi się, że jestem wschodzącą gwiazdą. Teraz jestem nikim, zamkniętym w czterech ścianach. Ale nawet one nie są w stanie uchronić mnie przed poczuciem zagrożenia. Ten stan nie może jednak trwać wiecznie. W końcu zacznę szukać jakiejś drogi wyjścia. Podpowie mi ją mój własny instynkt samozachowawczy. Szaleństwo nigdy nie jest jedyną możliwością. Nie mogę zostać kolejną ofiarą, o której nie wspominają księgi magiczne. Zaczynam doceniać drobne czynności, które wcześniej uchodziły mojej uwadze. Jadam regularnie. Zmywam naczynia. Chodzę na spacer. Rozmawiam z ludźmi. Stopniowo, krok po kroku, przestaję się obawiać mętnego wzroku Cthulhu, spoglądającego na mnie z otchłani czasu i pamięci. Nie boję się już wychodzić na ulicę. Dawno zaprzestałem odprawiania jakichkolwiek praktyk ochronnych, bo też i nie ma przed czym się bronić. Całkiem dobrze sypiam. Kto wie, może już przeszedłem na drugą stronę? Może już jestem przeźroczysty jak szklanka? Myśl o Cthulhu wyłaniającym się z podwodnych światów nie przyprawia mnie o dreszcze. Moje sny nie sprawiają mi kłopotów. Bo czyż te wielkie zamglone oczy nie są mną samym spowitym lękiem? Już nie obawiam się ślepych zaułków. Zamiast strachu odczuwam przyływ mocy.

Wspomniane zmiany nastrojów nie są, rzecz jasna, niczym niezwykłym. Przeszedł je każdy, komu zdarzyło się odbyć podróż inicjacyjną do krainy ciemności. Można dowiedzieć się o nich z tysięcy książek przedstawiających ich opisy, a nawet wskazówki, jak sobie z nimi radzić. To właśnie popularność, jaką się cieszy poznawanie „ciemnej nocy du-

szy”, sprawiła, że do swych praktyk wybrałem Cthulhu, a nie jakąkolwiek inną boską istotę. W mitach Lovecrafta jest bowiem coś wyjątkowego, coś nad wyraz *romantycznego*. Ta sama aura przyciąga do magii czytelników książek Dennisa Wheatleya. Jak o tym kiedyś pisał Lionel Snell: „Kiedy okultyzm pozbył się wszelkich potwornych występków, przypisywanych mu w książkach Dennisa Wheatleya, stał się podatny na wszelkie potworne występkę, jakich Dennis Wheatley nie był sobie w stanie wyobrazić”. I o to chodzi! Magia lovecraftowska posiada w sobie coś niezwykle ekscytującego, ścisającego w dołku, oszałamiającego – romantycznego. Wystarczy porównać ją z różnymi „systemami” magicznymi, opisywanymi w setkach książek obrastających kurzem na ugiętych półkach ezoterycznych sklepików. Każdy z tych systemów oferuje same symbole. W każdym z nich wszystko jest symbolem, przez co staje się (przynajmniej dla mnie) jakby mniej namacalne. Popularne książki magiczne wyzute są z jakichkolwiek poruszających przeżyć. Oferują co najwyżej szeregi symboli, tabele odpowiedników, wskazówki i porady, abstrakcyjne struktury mające zastąpić wszelkie autentyczne doświadczenie.

Zupełnie inaczej jest w przypadku magii lovecraftowskiej, której istotą jest *żywiotowość*, poczucie *bliskiej* obecności. Magia ta rezonuje z ukrytymi lękami, tęsknotami, aspiracjami i marzeniami. Oczywiście Wielkie Stare Bóstwa i tym podobne istoty mogą być tylko fragmentem jakiejś większej tajemnicy, której nie sposób skodyfikować, choć przy odpowiednim wysiłku nawet z pomocą gematrii można wywołać szalę typowy dla Cthulhu. Tak czy inaczej, jak dotąd nikomu nie udało się wydać *Necronomiconu*... zaraz, zaraz, to prawda, że w powszechnym obiegu funkcjonuje kilka *necronomiconów*, niemniej żaden z nich nie jest aż tak „doszczętnie bluźnierczym tomem”, by doprowadzać do szaleństwa swych czytelników. Jeśli istnieje taki egzemplarz, musi być dobrze ukryty w odludnej bibliotece, której odnalezienie graniczy z szaleństwem, a jego lektura może okazać się zrozumiała tylko dla jednego czytelnika. Zdarzają się wszak tacy ludzie, dla których *Pamiętniki Fanny Hill* jest bluźnierczą książką. Tymczasem *Necronomicon* to zaszyfrowany zapis takiego doświadczenia, które wywraca do góry nogami cały nasz światopogląd, zmuszając nas do uczynienia tego, co „należy” wykonać w przypływie *gnozy* – niezależnie od tego, czy jest to wyprawa dr. Henry’ego Armita-

ge'a do Dunwich, czy cudowna przemiana Szawła w drodze do Damaszku. To właśnie doświadczenie, to źródło, z którego tryska moc magiczna, jest dla mnie samym rdzeniem magii, jej główną *tajemnicą*. W tym nagłym obcowaniu z bogiem jest coś, co zrywa z nas wszelkie maski, pozostawiając nas z rozdziawionymi ustami. Na kilka chwil rozpada się nasz pancerz charakterologiczny (zanim ponownie nie wykształcimy naszej skorupki), dzięki czemu możemy dotknąć tajemnicy i nie spłonąć przez nią. A że nie sposób porównać tego z jakimkolwiek innym przeżyciem, chętnie do niego wracamy. Osobiście nie zdarzyło mi się doznać czegoś równie niesamowitego podczas tradycyjnych, zaplanowanych rytuałów magicznych. Ale za to każdy czyn magiczny, jakiego podjąłem się pod wpływem konieczności chwili lub na skutek jakiejś naglącej wewnętrznej potrzeby, dawał mi przedsmak tej tajemnicy. Może to dlatego nie mogę zapomnieć rozpalonych oczu kapłanki, którą „opętała” Hekate. Nie było w nich nic ludzkiego. Niedawno podobna sytuacja stała się moim udziałem, kiedy na moją prośbę ukazał się mi szalony bóg Pasupati, wzbudzając we mnie wielki lęk i pomieszanie. Jego połyskujące bielą oblicze i wpatrzone we mnie oczy wciąż przyprawiają mnie o dreszcze.

Prawdziwa magia ma w sobie coś dzikiego. Czasami zdarza się, że nocą czuję bliską obecność Wielkich Starych Bóstw. Spotyka mnie to, gdy wiatr uderza o okiennice. Gdy słyszę grzmot błyskawicy. Gdy wspinam się na górę, rozmyślając nad jej wiekiem. Wystarczy, że zostaną tam do rana, bym mógł cieszyć się ich towarzystwem. Wystarczy, że pozbędę się typowych dla ludzi nawyków. Wystarczy, że zaszyję się w dziczy, z dala od kruchego porządku naszej cywilizacji i z trudem podtrzymywanej jej racjonalności. Przy świetle księżycy nawet oczy owcy przyjmują złowieszczy wygląd. Na łonie natury nie są potrzebne żadne magiczne inwokacje. Sam oddech starczy za wszystko. Znajdziesz się wtedy bliżej Cthulhu, niż się mogłeś to sobie kiedykolwiek wyobrazić. Ponownie mamy tu do czynienia z subtelną różnicą pomiędzy „magiem”, któremu się wydaje, że ma prawo „przywoływać Wielkie Stare Bóstwa”, a magiem odczuwającym z nimi pokrewieństwo, nie potrzebującym więc do tego żadnych skodyfikowanych praktyk. Kiedy choć raz ujrzy się twarz boga i ulegnie jego szałowi, nawiązuje się z nim silny związek, którego nie sposób wyjaśnić. Związek, którym nie rządzą żadne reguły. Czasami bywa tak, że to

my wybieramy bogów, innym razem sami jesteśmy przez nich powoływani. Ale za każdym razem ów związek przyjmuje postać subtelnej wymiany, której konsekwencje możemy odczuć dopiero po wielu latach. Nie powinniśmy się temu dziwić, w końcu bogowie są cierpliwi. A Cthulhu śpi gdzieś w głębinach.